

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

9

— Dosyć, pani oświadcza, że nie uczyniła zamachu na życie pani dziecka. A przecież to dziecko zostało otrute w kilka dni potem, jak pani wobec dr. Burgera wyrażała się w sposób bardzo podejrzany, a nawet ukradła mu flaszeczkę trucizny. Tą samą trucizną zostało potem dziecko pani otrute. Czy pani chce w nas wmówić, że to był tylko dziwny zbieg okoliczności?

— Jest to fatalność, której nie pojmuję.

— Któż więc dał dziecku truciznę? A właściwie w jaki sposób dostała się ona do lekarstwa, które przedtem nie było wcale niebezpiecznym?

— Nie wiem.

— Czy pani nie ma jakich podejrzeń?

— Nie.

— Czy pani przypuszcza, że byłoby możliwym jakieś niedbalstwo lub przypadkowa zamiana?

— Stoję wobec zupełnej zagadki.

— Czy komu mogło zależeć na usunięciu dziecka?

— Nikomu.

— A pani szwagrowi, baronowi Wolfarn?

— Przeciwnie, testament uczynił życie dziecka dla niego bardzo drogiem.

— Nikt w czasie krytycznym nie wchodził do pokoju chorego dziecka. Pani i Siostra Marya przebywały tam ciągle, jeśli nie obie na raz, to w każdym razie jedna z was. Czy istnieje możliwość, aby ktoś dostał się do pokoju niepostrzeżenie, mówię o przeciągu czasu od podania lekarstwa rano, aż do nocy fatalnego dnia?

— Absolutnie nie. Przypominam sobie dokładnie każdą minutę owego dnia.

— O! proszę pani — na co pani zabrała flaszeczkę z trucizną?

— Byłam wtedy zupełnie rozstrojona pod wpływem troski; zażywałam już raz morfinę, aby się uspokoić, lekarz zabronił mi jednak i ostrzegał przed następstwami. Byłam tak źle usposobiona, że pomyślałam sobie, iż zrobię sobie bodaj jedno wstrzyknięcie, aby się trochę orzeźwić. Przyznaję, że było to tchórzostwo z mej strony. Błagałam niebo o siłę i już w powrotnej drodze żałowałam, że zabrałam flaszeczkę. Wstydziłam się przyznać doktorowi do mojego czynu. Liczyłam na to, że braku lekarstwa nie spostrzeże, a w najbliższych dniach oddam mu flaszeczkę, albo wyznam moją winę. On jako lekarz wybaczy mi mój czyn, wie on z doświadczenia, jak chorego ciągnie do trucizny, jeśli jej już raz zakosztował. Trzeba wielkiego wysiłku woli, aby oprzeć się pokusie.

— Dlaczego pani zabrała ze sobą flaszeczkę, kiedy pani poszła do domu szwagra, aby pielęgnować dziecko?

— Nie wiedziałam wcale, że mam ją przy sobie. W dniu, w którym zabrałam ją od doktora, wsadziłam ją do kieszeni sukni, tę samą miałam na sobie, gdy pospieszyłam do łóżka chorego dziecka.

— Usłyszy tu pani od świadka, że pani wiedziała dobrze o tem, iż ma pani ten flakon przy sobie. Gospodyni barona, panna Albanus, zauważyła zaraz na drugi dzień po pani przybyciu do pałacu, kiedy niespodziewanie weszła do gabinetu, przeznaczonego na sypialnię dla pani i zakonnic, jak pani pospiesznie i zmieszana chowała flaszeczkę w kieszeni płaszcza pani.

Marya zamilkła. obrońca spojrział na nią zdziwiony.

— Czy pani na to nic nie odpowie? — zapytał prezydent.

— Sądziłam, że owa pani nie widziała tego.

— Aha! — Pani więc przyznaje, że fakt taki zaszedł?

— Tak jest. Znalazłam flaszeczkę w kieszeni sukni i byłam tem niemile zaskoczona. Jeszcze więcej, niż zaskoczona. Drżałam o życie mego drogiego chłopca, i w tej chwili zrodziła się we mnie myśl, że mam przy sobie truciznę, która...

— Która?...

— Nienawidziłam się za to, że podobne myśli mogły mi przyjść do głowy. Aby się flaszeczki pozbyć, poszłam do sąsiedniego pokoju i ukryłam ją w płaszczu. Przypominam sobie, że panna Albanus właśnie weszła, ale sądziłam, że ona nic nie widziała.

— Dziwne! Pani ukryła flaszeczkę w płaszczu, aby jej się pozbyć, a w chwili kiedy zbrodnia zo-

stała spełniona, znajdowała się ona znowu w pani sukni. Jak pani wytłumaczy te fakty?

— Nagle zrodziła się we mnie myśl, że w płaszczu trucizna nie jest bezpieczna. Ktoś mógł ją znaleźć i wpaść na fałszywe domysły. Uważałam więc, iż postąpię rozstrupiej, chowając flaszeczkę znowu przy sobie.

— To bardzo ostrożnie z pani strony. Ta sama ostrożność kazała pani także pozbyć się jej przez wyrzucenie za okno, kiedy stwierdzony został powód śmierci dziecka. Nie prawdaż?

Oczy Margi zaczęły błyskać łzami, odwróciła się na chwilę, wstrzymując tryskające łzy chusteczką. Kiedy znowu zwróciła się ku sędziom, twarz jej przybrała wyraz rezygnacji i spokoju, który już zachowała w czasie rozprawy.

— Panie prezydencie — oświadczyła miękko — w tej strasznej godzinie nie byłam zdolna do wyrafinowanego kombinowania. Kiedy moje biedne dziecko uległo tym niespodziewanym i strasznym objawom, Siostra Marya powiedziała mi, co się stało. Wtedy w sercu matki zrodziła się tylko gwałtowność, pełna lęku, która na drugi plan usunęła wszelkie troski, wszystkie me siły skupiły się w tej walce, jaką toczyliśmy, aby wyrwać śmierci jej zdobycz. Kiedy ostatnia nadzieja prysnęła, wtedy... wtedy... — głos jej zadrżał... wielkość bólesci zła mała mnie zupełnie. Z początku było mi zupełnie obojętne, jak to się stało, że straciłam mój najdroższy skarb, oraz jakie wnioski i dochodzenia wyciągnął z tego lekarz. Nagle błysła mi cała naga prawda: rzucono podejrzenie na mnie, na matkę! Przypominałam sobie flaszeczkę z trucizną i nagle opanował mnie bezbrzeżny lęk, nie z powodu groźnego mi śledztwa, kary lub poniżającego oskarżenia, o tem w danej chwili nie myślałam — straszną stała mi się myśl, że ja, która z całem zaparciem się i poświęceniem wszystkich moich duchowych i fizycznych sił pielęgnowałam moje dziecko, ucho-dzić będę za jego morderczynię. Pierwszą odruchową myślą było, abym się pozbyła flaszeczki. Podeszłam do okna, otworzyłam je i udając, że pragnę zaczerpnąć świeżego powietrza oraz ochłodzić trochę rozgorączkowane me czoło, wychyliłam się i wyrzuciłam flaszeczkę na dół. Widocznie jednak zrobiłam to bardzo niezręcznie, jeśli baron Wolfarn natychmiast mój ruch zauważył.

— Oskarżenie twierdzi, że pani już z myślą o zabójstwie narzuciła się na pielęgniarkę dziecka i że szukała pani sposobności, aby swój zamiar wykonać.

— Pytajcie wszystkich, którzy w ostatnich czasach obcowali ze mną, czy byłam wtedy zdolna do tak wyrafinowanego postępowania — pytajcie wszystkich, którzy mnie znają, czy moje serce zdolne jest wogóle do robienia zła z przeświadczeniem o wartości mojego czynu? Dowiedziłam się, że dziecko moje jest niebezpiecznie chore — czyż tak trudno wyobrazić sobie, że każda matka chciałaby znaleźć się przy łóżeczku chorego dziecka?

— Pani jednak przy tymże łóżeczku dziecka, kiedy śmierć zabrała mu życie, wykrzyknęła, oskarżając się ciężko: „O mój mały, biedny, kochany Rudku, ja jestem twoją morderczynią!“ Oż innego mogła pani wtedy mieć na myśli, jak to, że pani sama...

Przewodniczący przerwał i patrzył badawczo na oskarżoną.

Ta wstrząsnęła gwałtownie głową z przeczącym gestem.

— Czyż tak trudno wam zrozumieć ten wykrzyk zbolełego serca matki? — zawołała podnosząc ramiona do góry. — Ja sama czuwałam przy Rudolfie, ja sama dałam mu straszne lekarstwo. I właśnie to mną tak strasznie wstrząsnęło, że on z mojej ręki otrzymał napój, który mu przyniósł śmierć. Cała gorycz i ból, jakie napętniały me serce, wydarły się w tym okrzyku; gdybym była winna, byłabym się przecież wystrzęgała, aby w tak prosty sposób się nie zdradzić.

W odpowiedzi zabrał głos prokurator i wskazał, że zbrodniarze bardzo często zdradzają się właśnie w taki przypadkowy sposób.

— Wobliczu spełnionego czynu — tłumaczył — nagle opanowuje ich skrucha i żal i wtedy wyrzają się z ich ust słowa oskarżenia przeciw sobie samym. Psychologicznie rzecz biorąc, wykrzyk ten jest ważnym dowodem, któremu oskarżona stanowczo nie może zaprzeczyć, ani jego wartości osłabić.

Przewodniczący nakłonił następnie Margę, aby opowiedziała całe swoje tragiczne życie. Nie siliła się na nadzwyczajne retoryczne zwroty, mówiła tak, jak mówić mogła w chwili, gdy dusza jej była wzburzona i znękana, w obliczu tego, że każde jej słowo mogło obrócić się przeciwko niej. Za wiele

jednak przecierpiała od czasu zamążpójścia aż do ostatniej katastrofy, aby to wszystko nie wybuchnęło dosyć silnie. Słowa jej, malujące w krótkich, urywanych zdaniach wszystkie jej udręki duchowe, sprawiły na słuchaczach głębokie wrażenie. Przecież ona jeszcze raz, duchowo, przeżywała w tej krótkiej chwili wszystkie swe cierpienia, iży tamowały jej słowa i były jedynymi wyrazicielami jej myśli, mimo to w audytorium zaczęto przychylnie dla niej się usposabiać, tu i ówdzie odezwały się wybuchy gniewu, skierowane przeciw baronowi Wolfarn, a przewodniczący sądu musiał użyć całej swej powagi, aby utrzymać spokój potrzebny do prowadzenia dalej rozprawy. Zwłaszcza opis uprowadzenia dziecka podniecił umysły, nawet sędziowie i przysięgli ulegli silnemu wrażeniu, jakie wywołały opisy tych scen.

Następnie rozpatrywano szczegółowo, minuta po minucie, chwile dramatu, jaki rozegrał się u łóżka chorego dziecka. Z każdej godziny swego pobytu przy chorym musiała Marga złożyć dokładne sprawozdanie, każdą swoją czynność musiała wytłumaczyć, opowiedzieć każdą myśl. Kiedy po raz drugi podkreśliła, że ból, jaki ją opanował na widok trupka dziecka, pozbawił ją przytomności, prokurator zauważył sceptycznie, że ból taki może być udany, na scenie nieraz przedstawiają go jeszcze dramatyczniej aniżeli w życiu; wtedy Marga zerwała się z miejsca jak lwica, z oczu sywały się skry gniewu, którymi uderzyła w swego oskarżyciela. Podniosła dumnie głowę, a przyciskając ręką serce, zawołała wzburzonym głosem:

— Zróbcie ze mnie morderczynię, jeśli chcecie, ale nie obrażajcie we mnie honoru matki. Nie wierzę, aby znalazła się matka, albo już była, któraby tylko udawała ból z powodu straty porwanego jej dziecka. Widok nieżywych młodych wyrwa nawet z piersi tygrysy okrzyk bólesci. Panowie, miejcie litość nademną, wspomnijcie sobie, com już przecierpiała. Nie zapominajcie o tem, że rozprawa sądowa wymaga zupełnie innych nerwów od tego, o czyją cześć, wolność a nawet życie się toczy, aniżeli od sędziów lub słuchaczy.

Opadła ciężko na ławę oskarżonych i na chwilę ukryła twarz w rękach, gorzko płacząc.

ROZDZIAŁ XIII.

Powstał szybko obrońca dr. Ammarell:

— Prześwietny sądzie, ośmielę się sprostować zasadnicze twierdzenie pana prokuratora — oświadczył krótko. — Z jednej strony podsuwa się mojej klientce żal i namiętne oskarżania się, w których sama się obwinia, z drugiej zaś strony stawia się w wątpliwość szczerść tego żalu. Albo jedno, albo drugie może być tylko prawdziwe. Nie chcę przez to powiedzieć, że z prawdziwości jednego z tych faktów należałoby wysnuwać takie konsekwencje, jak to czyni akt oskarżenia. Powrócę jeszcze do tej sprawy.

Na tem ukończono przesłuchanie oskarżonej. Zeznawali potem świadkowie. Dr. Major, lekarz domowy, objaśnił dokładnie wyniki swych zabiegów lekarskich i stwierdził, że mały Rudolf rozmyślnie został otruty morfiną. Profesor Sturm potwierdził w całej rozciągłości orzeczenia swego zawodowego kolegi i wyjaśnił obszernie objawy i charakter zatrucia morfiną.

Następnie przesłuchano służącego i żeńską służbę; zeznawali oni tylko różne szczegóły małej wartości. Rozpoczęto przesłuchiwanie świadków generalnych. Pierwszą była Siostra Marya.

Opowiedziała ona najpierw dokładnie przebieg wypadków, których była uczestniczką w domu barona Wolfarna, poczem rozpoczął swe pytania prokurator.

— Proszę Siostry, pokój, w którym leżało chore dziecko, znajdował się na pierwszym piętrze?

— Tak.

— Okna wychodziły na ogród?

— Tak.

— Do użytku waszego miałyście z oskarżoną dwa pokoje, pokój chorego i gabinet, w którym spałyście, jadły, wogóle przebywały?

— Tak jest, panie prokuratorze. Taki gabinet zawsze musimy mieć przy chorym, gdyż nie jest wskazanem jadać w pokoju chorego.

— Bardzo słusznie. Do pokoju chorego można się było dostać tylko przez gabinet?

— Tak, tylko przez gabinet.

— Dobrze, to jest ważny punkt, który musimy zachować w pamięci. Siostra albo oskarżona, albo też obie razem przebywałyście stale w jednym z tych dwu pokoi?

— Nie tylko to, jedna z nas była stale w pokoju chorego.

— Tak więc było zupełnie wykluczonem, aby